



OD ELEI DO AUSCHWITZ  
NIE PRZECZYTANY TEKST O HOLOCAUŚCIE

Raport z lektury książki

Cezary Wodziński

*Światłocienie zła*, Wrocław 1998, s. 411

## 1.

W *Światłocieniach zła* Cezary Wodziński narrację o dziejach postrzegania i komentowania w filozofii europejskiej fenomenu Zła prowadzi na przemian z dwóch pozycji. Pierwsza, rzekłabym, klasyczna – to pozycja uważnego i krytycznego widza. Siedząc właśnie na widowni przegląda kolejne odcinki serialu pod wspólnym tytułem *Unde malum?* („Skąd zło”). Jak to nieraz miało miejsce w historii rzeczywistego kina, różni autorzy przedstawiają własne koncepcje jednego i tego samego problemu, w różnym ujęciu i w różnej obsadzie. W tym przypadku „serial” ciągnie się na przestrzeni wieków i obejmuje „odcinki nakręcone” przez Platona, Plotyna, św. Augustyna, Kanta, Hegla, Schellinga, Nietzschego, Ricoeura, Levinasa, Arendt, Tischnera, Baumaną...

C. Wodziński, przyglądając się im, czyni to jak wytrawny krytyk filmowy. Streszczając zawartość, dostrzega i wskazuje na wzajemne związki: koligacje, kontynuacje, nagle zwroty, nowe perspektywy – jednym słowem postrzega je jako nieustanną rozmowę, której wątki wikłają się, rwą, powracają, ale zawsze krążą wokół tego samego, fascynującego i wciąż wymykającego się tematu.

Opowiadając o tej rozmowie, wychwytuje ową polifonię głosów i wtrąca do niej także swój własny głos. Niekiedy wprost, niekiedy pośrednio, kiedy mianowicie próbuje porządkować i klasyfikować zmieniające się opcje. Zwraca naszą uwagę, iż zależnie od tego, czy Zło ujmowane jest w siatkę kartograficzną teo-dycei, racjo-dycei, fide-dycei, historio-dycei, socjo-dycei, główny bohater, Zło, przyjmuje odmienną postać. Jawi się ono kolejno: już to jako brak bytu, skażenie bytu, cićń bytu, destrukcja bytu, już też jako byt swoisty: demon – kusiciel, demoniczny rozum bądź – nierozum, ludzka bezmyślność. Zło przyjmuje kształt raz jedynie tła dla bytu rzeczywistego, raz cienia, jaki ów byt rzuca, innym zaś razem

przerwy, luki, szczeliny bytu. Skala jego natężenia sięga od Zła radykalnego (I. Kant) po zło banalne (H. Arendt). Wciela się ono w Szatana, przypisywane bywa samemu Bogu, wreszcie – człowiekowi jako „Batmanowi”.

Gdyby faktycznie był to film, w poszczególnych jego odcinkach należałoby zmieniać prawie wszystko: od scenografii po aktorów. Także pointa byłaby za każdym razem inna. Od optymistycznej, wieszczącej *happy end*, po pesymistyczną, niekiedy wprost apokaliptyczną.

Panorama poglądów na temat „Skąd zło?” mnożąc odpowiedzi, zamiast pouczać i uspokajać czytelnika, odwrotnie powiększa jego niepokój. Nadmiar odpowiedzi to tylko jeszcze jedno pytanie: dlaczego nie można dojść do odpowiedzi jednej. Sytuację, jaką relacjonuje książka *Światłocienie zła*, przyrównać można do dobrego kryminału. Na początku pojawia się trup oraz wezwany detektyw. Ponieważ rzecz dzieje się w zamkniętym pomieszczeniu, z którego nikt nie mógł wyjść podczas zajścia zbrodni, wszyscy obecni zostają objęci podejrzeniem o jej sprawstwo. Każdemu też można przypisać wiarygodny motyw. Dlatego detektyw, nie pomijając żadnej osoby, konstruuje coraz to nowe liczne hipotezy czyniące każdego z obecnych domniemanym mordercą.

Historia europejskiego myślenia o Złu podobnie rozpatruje wszelkie możliwe wersje: że jego źródłem i nosicielem jest Byt, Niebyt, Bóg, Szatan, Człowiek.

„Kryminał” *Światłocienie zła* zaskakuje nas wszakże zakończeniem, niespotykanym u klasyków gatunku: Agaty Christie, Hitchcocka, Simenona. Albowiem, w ostatniej scenie rzekomy nieboszczyk ożywa na chwilę i na ucho powierza śledczemu właściwe rozwiązanie. Po czym, resztką sił, wbija mu w serce zatruty sztylet. Tajemnicę zabierają do grobu obydwa...

Cezary Wodziński, po rozpatrzeniu głównych filozoficznych, politologicznych i socjologicznych teorii Zła dochodzi do wniosku, że aczkolwiek budowano coraz to gęstsze i z coraz to lepszego materiału utkane sieci, coraz celniejsze harpuny i sprawniejsze statki, Biały Wieloryb, potwór wynurzający się z głębi oceanu i tak się im wymykał, przepływając obok, usiłując wyrzucić ścigających, grając na nosie kapitanowi Ahabowi. Pozostaje, wedle autora, przyjąć już tylko ostatnią możliwość: że Zło jest Nicością, taką wszakże, która ma swoją osobliwą substancję. Jest mianowicie niebytem, który... jest. Zło zdaje się mówić: „jam jest, którym nie jest”.

Byłby to, do pewnego przynajmniej stopnia, konsekwentny wniosek z faktu, iż niemożliwość lokalizacji Zła bynajmniej nie zapewnia jego nieobecności czy jedynie pozorności. Tym bardziej, dodajmy od siebie, że myśliwi, filozofowie usiłujący osaczyć – zreflektować, myślowo zidentyfikować, nazwać Zło, wskazać jego genealogię i bytowy status – bynajmniej nie są sami – z tego wyłącznie powodu – na nie impregnowani. Wystarczy napomknąć o *casusie* Martina Heideggera, jednego – nikt nie podaje w wątpliwość – z największych filozofów naszego stulecia. Przenikliwość w myśleniu o byciu i czasie nie zdołała uchronić go przed popadnięciem w dramatyczny, acz niedługi, „romans” ze Złobyciem w Złoczasiu. Nieistotne, że trwał krótko. Wstrząsające, że się zdarzył. Stąd można wnosić, że nie

ma i być nie może żadnej gwarancji, pewności, ba!, najmniejszej nadziei, ażeby nawet dogłębna świadomość natury i genezy zła ubezpieczała człowieka przed popadnięciem w jego pułapki, izolowała go odeń. Przypadek Heideggera zdaje się więc ostatecznym słowem przeciw etycznemu intelektualizmowi Sokratesa. Ale także czymś więcej. Albowiem świadomość tego, że świadomość Zła przed Złem nie chroni wiedzącego, że od czynienia zła nikogo, ale to nikogo nie jest w stanie uchronić to, wbrew pozorom korzyść. W tym sensie *casus* Heideggera to nie tyle skandal ile lekcja pokory. Zarazem nakaz, by filozofowie jako znawcy i lekarze Zła sprawdzili, czy sami nie są nim także zarażeni.

## 2.

Określmy drugą pozycję, jaką Cezary Wodziński przyjmuje w swej książce o grze światłocieni zła i dobra. Fascynacja autora światłocieniem (owym szczególnym bytem światła i cienia, jaki wynika z relacji jasności i mroku, osobliwej, bo drgającej), przejawia się u niego nie tylko w przedmiocie, ale też w metodzie.

Pozostając przy porównaniu z kinem, tą współczesną jaskinią Platona, powiedzmy, że bycie kinem oraz bycie-w-kinie realizuje się na dwa sposoby, wzajemnie uwarunkowane i dopełniające się. W sali kinowej pozycja Widza, najbardziej, wydawałoby się, oczywista, byłaby niemożliwa, niewykonalna, gdyby jej nie dopełniała pozycja Operatora. Ten fachowiec od strony technicznej, pozostający w niewidocznej z wnętrza ciemnej sali kabinie, determinuje poniekąd bycie Widzów, zmieniając rolki taśmy filmowej i puszczając je w ruch. Nie interesuje go też na ogół fabuła filmu, jest bowiem przede wszystkim odpowiedzialny za maszynierię odtwarzającą specyficzny „byt filmu”, owej iluzji – nieiluzji, swego rodzaju „fikcji prawdziwej”.

Otóż Cezary Wodziński, jak autentyczny kinoman, coraz to z fotela widzów przenosi się do owej kabiny operatora. Sygnalizuje to dyskretnie – układem treści swej książki. Przytoczmy ów spis treści, by to „zdemaskować”:

Zamiast wstępu. Fragmenty 1–7.

Transcendencja zła, albo o pytaniu, którego stawiać nie należało.

Fragmenty 8–17.

Niecznośna uciążliwość zła, czyli zło dialektycznie przemysłane.

Fragmenty 18–28.

Skandal zła, czyli o skandalicznej niepomyślności

Fragmenty 49–66.

Zło doświadczane, zło doświadczające, czyli o zjawianiu się zła.

Fragmenty 67–74.

Raport w sprawie zła, czyli raz jeszcze o zamknięciu.

Fragmenty 75–84.

W stylu prowokacji, czyli pytanie Holocaustu.

Fragmenty 85–94.

Bycie a Dobro, czyli poza byciem i bytem, poza dobrem i złem.

I zamiast zakończenia. Fragmenty 95–112.

Oryginalność pomysłu i zamysłu autora, jego niekonwencjonalność wyraża się więc tym, iż na przemian pokazuje on to, co widać, co się jawi w ujęciu poszczególnych filozofów zła oraz to, jak to coś jest postrzegane, z jakiej perspektywy zobaczone. Innymi słowy: jaka jest treść teorii poszczególnych odcinków serialu (ich reżyserów łatwo zidentyfikować deszyfrując aluzyjne tytuły) oraz dlaczego mogli i musieli oni myśleć o Złu akurat tak właśnie. Narracja zatem przeplata się z metanarracją, opowiadanie o tym, co ktoś zobaczył ze swojego punktu widzenia i w świetle przyjętych przez siebie założeń z opisem tego, czego zobaczyć zasadniczo nie mógł z tegoż miejsca.

W ten sposób Cezary Wodziński zdąża niejako do przekroczenia progu niemożliwości: do tego mianowicie, by w figurze „kaczko-królika” dostrzec naraz i „kaczkę”, i „królika”, a ponadto wyjawić, dlaczego inni byli zmuszeni nie zawsze w pełni świadomie wybierać: albo – albo.

Konkluzją autora jest, jak już wspomniałam, konstatacja dotychczasowej klęski widzenia. Wyraża się ona w tym, iż badając retrospektywnie filozoficzną historię Zła, przychodzi skonstatować, że za każdym razem, kiedy wydawało się, iż ma się w posiadaniu jego gotowy wzór, wzór ów za chwilę ulegał rozsypce. Zło, rozpoznane i opanowane, uchwycone, zlokalizowane i obmurowane, zniecka atakowało obrońców twierdzy Dobra od innej nieoczekiwanej strony. Pojawiało się z góry, z powietrza, wpęzało podkopami. Wreszcie – zniecka objawiało się *intra muros*. Także w zachowaniach tych, którzy właśnie prowadzili śledztwo w jego sprawie, by je raz na zawsze opanować i zwalczyć.

Zmieniała się przy tym – powtórzmy – nie tylko genealogia zła, miejsce usytuowania jego zatrutych źródeł, lecz także jego postać. Zło bowiem cechuje wielopostaciowość iście proteuszowa. Albo raczej – diaboliczna. Jak to zauważył Lewis, szatan skrywa się najdokładniej i ma się najlepiej wtedy, gdy udaje mu się wmówić ludziom „oświeconym” i „racjonalnym”, że go w ogóle nie ma. Najnowsza postać Zła to właśnie jego... bezpostaciowość. Jeszcze H. Arendt w swej diagnozie o banalności Zła porównywała je do pleśni. Niepozorne i niewidoczne gołym okiem, rozpełza się ono cichaczem po wszystkim i po wszystkich, porasta cały ziemski glob, podczas gdy człowiek wypatruje go pod spektakularnym, rzucającym się w oczy kształtem potwora.

### 3.

Dla Cezarego Wodzińskiego ostatecznym argumentem za niepochwytnością Zła (mimo jego epifaniczności, czyli objawienia się „twarzą w twarz”) jest jego „niepomysłność”, niemożliwość pochycenia go myślą. Holocaust, Zagłada, Ludobójstwo – to słowa nie znane w dotychczasowym języku. Trzeba je było stworzyć, przywołać, wymyśleć specjalnie na okazję tej epifanii Zła (czy wręcz jego ekshibicjonistycznej eksplozji), dla określenia której nie wystarczają żadne dotąd stosowanie pojęcia. Owe nowe imiona Zła winny oddać teraz z jednej strony

aspekt jego powszechności, masowości, anonimowości, z drugiej natomiast fakt, iż sprowokowane przez ludzi wobec innych ludzi ponadmiarowe cierpienie przybrało formę działalności moralnie obojętnej. Miało kształt „ciężkiej pracy” skierowanej na „oczyszczanie”, „higienizację”, „asenizację” ludzkiego gatunku. W obozowych fabrykach śmierci pracowali robotnicy śmierci i urzędnicy śmierci pobierający za swą pracę miesięczną zapłatę. Liczący przy tym na odznaczenia, nagrody i awanse i nie dopuszczający myśli, że czynią coś niegodnego czy naganego.

Do dziś u niektórych osób największą zgrozę wzbudza nie to, że znajdowali się ochotnicy do takich zajęć, ale że były to osoby „poza tym” uczciwe, normalne, zdolne do uczuć rodzinnych, kochające sztukę, dzieci, psy i kwiaty.

W takiej reakcji odzwierciedla się wciąż jeszcze wyraźny ślad modelu „potworności Zła”. Stereotypu naiwnej wiary w to, że jedynie osobnicy zdegenerowani, zli niejako z natury, zdolni są do czynienia Zła. Raz jeszcze zaświadcza to o wygodzie takiego myślenia, które zresztą niewiele ma z myśleniem *sensu stricte* wspólnego, jako że sprowadza się głównie do dychotomizowania ludzi na „potomków Abla” i „potomków Kaina” oraz do piętnowania tych drugich przez tych pierwszych.

Słusznie więc, że żadna z istniejących transkrypcji intelektualnych Holocaustu nie zadowala i nie przekonuje do końca autora *Światłocieni zła*. Doceniając wysiłki odchodzenia od nazbyt już archaicznych, zbyt odległych od codziennego doświadczenia Ery Holocaustu przeświadczeń o Złu, Cezary Wodziński mimo to nie uznaje za wyczerpujące ani koncepcji H. Arendt, ani Z. Baumana, ani J. Tischnera, ani też E. Levinasa.

Z uporem, pod którym domyśleć się można determinacji, autor powtarza, iż „tekst o Holocaustcie nie został jeszcze napisany”. Z dwóch jak twierdzi powodów. Nie tylko dlatego, iż tradycyjny język odstaje od wydarzenia epifanii Zła, ale też wskutek jakiegoś niedostatku samego owego doświadczenia. A ponieważ również „wyjście milczenia” jawi się Autorowi jako niedopuszczalne (łatwo bowiem pomylić milczenie grozy z przemilczaniem po prostu), skonstatować mu wypada po prostu bezradność. Jednakże Cezary Wodziński doskonale wie, iż nie zamyka to sprawy, a tylko otwiera nowy rozdział, nowy akt procesu.

Zgadzam się z Wodzińskim: nie może być to przewlekanie *Procesu F. Kafki*, któremu jeszcze przed faktem Zagłady jawiła się ona zarazem jako nieodwołalna i nieopisywalna, bezkształtna dla myśli Apokalipsa. Nie można w nieskończoność odmieniać oświadczenia T. Adorno, iż „po Oświęcimiu metafizyka jest niemożliwa”, albowiem oznacza to jałowienie i pretensjonalność rzekomej myśli.

Twórca *Światłocieni zła* dostrzega nową perspektywę. Domaga się ona, jeśli dobrze rozumiem jego sugestię, radykalnego przewartościowania. Ale bynajmniej nie przewartościowania wartości (to już było i nic!), lecz przewartościowania metafizyki. Czy też raczej meta-metafizyki. Zbudowania takiej, w której odwróceniu ulegną sensy zakrzeplę w słówku „jest”. Począwszy od Parmenidesa i je-

go aksjomatu „byt jest, a niebytu nie ma” (*resp.* A niebyt nie jest), słówko „jest” przysługuje bytowi utożsamianemu z dobrem.

Cezary Wodziński orzeka natomiast z całym naciskiem: Jest Zło! Jeżeli Zło jest Niebytem, jeśli jest ono Nicością – przeto jest! Niebyt i Nicość są!

Spodziewać się zatem należy dalszego ciągu *Światłocieni zła*, w którym filozof przedstawi swoją „pozytywną teorię niebytu”, apofatykę: onto-apofatykę i antro-po-apofatykę. Istotnie, byłoby to spójne z logiką jego analiz, które wykazały, iż wszelkie dotąd istniejące teorie Zła jako niebytu, luki, przerwy, szczeliny, rozstępu w bycie Dobra – zawiodły. Wobec tego należy zabudować koncepcję Zła jako Bytu – osobliwego Bytu Nicości, Bytu Próżni, Czarnej Dziury wchłaniającej światło. Z prawdziwą ciekawością wypada czekać na taką, do prawdy heroiczną próbę. Aczkolwiek intuicyjnie nieoczywista, bo gwałcąca wszelkie nawyki myślowe, językowe i aksjologiczne, może się okazać nowatorska czy zgoła odkrywczą.

#### 4.

Melchior Wańkowicz powiedział kiedyś żartem, iż żał mu umrzeć dlatego tylko, że nie mógłby przeczytać jutrzejszej porannej gazety.

Kiedy cytowałam konstatację Cezarego Wodzińskiego, iż „tekst o Holocauście nie został napisany”, byłam przekonana, że tak w rzeczy samej jest. Do momentu jednak, kiedy nie otworzyłam porannej gazety. Otóż... właśnie tam go znalazłam. Przytaczam *in extenso* najważniejsze fragmenty. Tytuł brzmi: „Za zbrodnię na Niemcach”. Nagłówek zaś: *Polska żąda ekstradycji Morela, Izrael odmawia*.

„Co było w Świętochłowicach: Po wkroczeniu na Śląsk w styczniu 1945 roku Armii Czerwonej komunistyczne władze utworzyły obóz dla Niemców w dzielnicy Zgoda w Świętochłowicach koło Katowic – na terenie byłej filii hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Morel został jego komendantem. Przebywało w nim ok. 3-5 tysięcy osób. Zsyłano do niego Niemców oraz tych obywateli polskich, którzy podpisali »volkslistę«. Decyzja o osadzeniu zależała od UB i nie była poparta formalnymi orzeczeniami sądów czy prokuratur. Bezdyskusyjną przyczyną umieszczenia w obozie było domniemanie, oparte niekiedy na przypuszczeniach lub donosach, że ktoś należał do NSDAP czy innych nazi-stowskich organizacji.

W 1992 r. Okręgowa Komisja Badania zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wszczęła śledztwo w sprawie śmierci w 1945 r. 1538 osób w obozie Świętochłowice – Zgoda, którego komendantem był Morel.

W śledztwie ustalono, że w obozie w Świętochłowicach brak było podstawowych warunków sanitarnych. Rozprzestrzeniające się epidemie i panująca w obozie ciasnota doprowadziły do masowych zgonów (po 20–30 dziennie). Posypywane wapnem nagie zwłoki grzebano na okolicznych cmentarzach w nieoznakowanych zbiorowych mogiłach, groby równano z ziemią.

Według świadków Morel sam bił więźniów, powodując u nich niekiedy trwałe kalectwo, m.in. głuchotę. Bicie w obozie było nagminne, tak jak i inne metody znęcania się nad więźniami, np. stanie na placu przez kilka godzin”.

I jeszcze – „Kim jest Salomon Morel”:

„Urodził się 15 listopada 1919 r. w Grabowie w rodzinie żydowskiej. W czasie wojny trafił do Oświęcimia, gdzie zginęli jego najbliżsi. Po wojnie od lutego do listopada 1945 r. był komendantem obozu pracy dla Niemców w dzielnicy Zgoda w Świętochłowicach koło Katowic. Panowały tam straszne warunki. Więźniów bito, głodzono, szalały epidemie, m.in. celowo wywołany tyfus. Kazał też całymi nocami śpiewać hitlerowskie pieśni, bijąc tych, którzy nie znali słów. A wielu więźniów – Ślązaków – nawet nie umiało dobrze mówić po niemiecku. Po zlikwidowaniu obozu w Zgodzie, Morel został komendantem (zajmował to stanowisko do 1949 roku) Centralnego Obozu Pracy w Jaworzynie. Przetrzymano tam m.in. Ukraińców przesiedlanych w trakcie akcji „Wisła”, młodocianych więźniów politycznych, a także żołnierzy niepodległościowego podziemia. Potem zamieszkiwał w kamienicy w samym centrum Katowic. Kilka lat temu Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wszczęła śledztwo w sprawie Zgody. Morel był przesłuchiwany wówczas jako świadek, bo komisja nie może nikomu stawiać zarzutów. W 1995 roku sprawę przekazała katowickiej prokuraturze wojewódzkiej. Morel natychmiast wyjechał do Izraela. Prokuratura rozesłała więc za nim natychmiast listy gończe”.

A na sam koniec informacja: Izrael odmówił wydania Salomona Morela. „Jak powiedział nam Jerzy Gajewski, rzecznik Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach, nie będzie ona występować do ministerstwa o ponowną ekstradycję. Jeśli raz wniosek odrzucono, to po co bawić się w to ponownie – stwierdził prokurator Gajewski.

Eugenia Lubas, dyrektor Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach: – Wiadomość o odmowie przyjęłam bez emocji. Należało się z tym liczyć”. („Gazeta Wyborcza”, 8 grudnia 1998)

Tak oto rzeczywistość przerosła wyobraźnię, fakty – *science fiction*. W całej ogromnej literaturze Holocaustu: wspomnieniowej, beletrystycznej, eseistycznej, psychologicznej, socjologicznej, a także filozoficznej nie natknęłam się na taki poryw fantazji, który dopuszczałby możliwość zwierciadlanego powielenia Auschwitzu – w Auschwitzu. W tym samym miejscu, w tych samych barakach, w chwili po klęsce wojennej Niemiec, nastąpiła dokładna zamiana ról. Rolę komendanta i naczelnego objął Żyd, dotychczasowy więzień, ofiara. I, trop w trop, kropka w kropkę, z maleńkimi zaledwie modyfikacjami jał teraz jako komendant „likwidować” „substancję ludzką”, nie bacząc nawet, czy są to – dokładnie – jego „osobiści” wrogowie, ci którzy go dręczyli – Niemcy. Taśmowa produkcja *Machiny Zagłady*, po momentalnej jedynie przerwie – na „zwycięstwo skrzywdzonych” trwała więc nadal. Trwała? „Bez emocji” przyjęli funkcjonariusze polskiego prawa wiadomość, iż Izrael nie wyda prokuraturze Salomona Morela. Zatem: wszystko jedno, kto stoi przy kole zamachowym, a kogo miele maszyna.



## 5.

W ten oto sposób bezpostaciowe Zło, przynajmniej w moich oczach, nabrało kształtu. Jest to, nieomal dosłownie, postać jednej z figur Rorschacha, autora psychologicznego testu na badanie osobowości. Zbiór „obrazków” składających się na ów test powstał przez strząsanie na kartki papieru atramentowych plam, a następnie przez składanie owych kartek i przyciskanie ich wzdłuż pionowej linii. Po ponownym rozłożeniu na płasko kartki, ukazywały się nieoczekiwane „figury” podobne do siebie tym tylko, iż charakteryzują się idealną symetrią. Prawa strona dokładnie, symetrycznie odpowiada lewej.

Pomysł Rorschacha był prosty i w tej prostocie genialny. Przypadkowa, chaotyczna, pozbawiona jakiegokolwiek sensu, plazmowata plama nabrała sensu natychmiast, kiedy dzięki pomysłowemu trickowi znalazła swoje bliźniacze oblicze. Interesujące w owym teście jest też to, iż badane nim osoby, nie uprzedzone o genezie „obrazków”, z miejsca nadawały im znaczenie. Mianowicie, z góry założywszy, iż psycholog jest osobą poważną i nie mogącą ich zwodzić, uczyniwszy zatem założenie jego racjonalności, same też jęły reagować „racjonalnie”. Wpisywały mianowicie w nonsensowny (w swej istocie) kształt – sensowną treść. Treść ta stanowiła mimowolną i bezwiedną projekcję ich rzeczywistych doświadczeń, z reguły urazowych, w każdym zaś razie – prywatnych, osobiście i boleśnie przeżytych.

Rzec można, iż zasadą funkcjonowania testu Rorschacha jest „wywabianie plam”, prowokowanie badanego, aby wywołał z piwnic podświadomości tę część swego doświadczenia, która wydawała się wcześniej niewyraźna, niekomunikowalna, umykająca świadomości, słowom, rozumowi.

Zadziwiające jest, zauważmy przy tej okazji, jaką moc posiadają powtórzenia. To, co zdarza się jako jednorazowe i unikatowe, a przy tym nieoczekiwane i szokujące, z miejsca niejako pretenduje do roli wyjątku. Szczęśliwego czy też nieszczęśliwego przypadku (wypadku). Jako takie ma tendencję do wykorzystywania „poznawczej ulgi”. Rutynowe przeświadczenie, że „wyjątek potwierdza regułę”, podpowiada, aby to, co nie mieści się w normie, wypchnąć poza nawias i więcej tym już nie zawracać sobie głowy. Co najwyżej – by je potraktować jako ciekawostkę, osobliwość, temat anegdotyczny.

Zagłada, Holocaust, Ludobójstwo ma jednak w sobie właściwości wyjątku monstrualnego. Z jednej strony, owszem, może uchodzić za odstępstwo od reguły. Mianowicie – od reguły zabijania się ludzi nawzajem. Historia ludzkości, w wersji do niedawna podawanej w podręcznikach, jawiła się wszak jako historia wojen, rewolucji, buntów i rzezi. Uczono jej dzieci i dorosłych, niejednokrotnie epatując liczbą ofiar za „słuszną sprawę”. Nie budziło to niczyjego zgorszenia. Nie okresy wojny (a zatem nieuchronnego, lecz „przyzwolonego” mordowania ludzi przez ludzi), ale krótkie przerwy na pokój stanowiły wyjątek. Cóż się więc takiego stało, że kolejna wojna, przy tym już druga totalna!, nagle wzbudziła owo zgorszenie?

Czy tylko fakt automatyzacji i technicyzacji, zastosowania technologii zwiększającej możliwości „przerobowe” machin śmierci, zdecydował o owej reakcji grozy? Czy też jedynie to, że to oni bez skrupułów mordowali nas masowo?

Gdyby istotnie przesłanką oburzenia była humanistyczna i humanitarna idea, iż oto zgwałcono nienaruszalne prawo do życia każdego człowieka, skazując na śmierć niewinnych i bezbronnych, owo zgorzenie winno było objąć wszystkie ofiary wojny, zamordowanych po obydwu stronach linii ognia. W każdym zaś razie, literatura wojny i literatura obozowa z jednakową uwagą i współczuciem winne były pochyłać się nad przerwany bez sensu, zniszczonym czy zdeprawowanym losem chociażby ludności cywilnej.

Nic takiego jednakże nie miało dotąd zasadniczego miejsca. Oburzenie, potępienie, obwinianie, chęć bezwzględnego karania zostało zarezerwowane dla „szatańskiego wroga”. Współczucie, zrozumienie, ubolewanie natomiast – zastrzeżone dla „anielskiego” przyjaciela. Dychotomia manichejskiego podziału na „dobrych swoich” i „złych obcych” nie tylko nie została podważona czy chociażby poruszona, ale – przeciwnie – jedynie się umocniła na widok „krajobrazu po bitwie” zaścielonego „dymami z Birkenau”.

Zwycięstwo nad faszyzmem było okazją tyleż do świętowania wolności, ile okazją do zemsty. Jeśli nie odwetu fizycznego, to przynajmniej moralnego. Przy tym akcji potępiania i piętnowania, karania za zbrodnie, towarzyszyło symetryczne i ciągle narastające przeświadczenie, iż status ofiary zrównuje ją nieomal ze statusem świętego. Nikt nie wnikał przy tym, kim naprawdę byli owi zamordowani, jak myśleli, jak się zachowywali przedtem. Czy przypadkiem przynajmniej niektórzy z nich osobiście nie przykładali ręki do brukowania drogi do Oświęcimia.

## 6.

Ta łatwość w zrzucaniu odium wyłącznie na Kaina i jego potomków, którym udowodniono zbrodnię, jako że była oczywista i spektakularna, znajdowała zatem – symetrycznie – dopełnienie w uniewinnianiu ofiar Holocaustu. Jawili się oni, apriorycznie poniekąd, jako moralnie nienaganni, niewinni, o kryształowo czystych sumieniach i rękach.

Zasada sprawiedliwości przez pierwsze pół wieku po Holocauście przyjmowała na ogół postać zasady „słusznej zemsty”. Dążono do wychycenia i ukarania „zbrodniarzy wojennych”, „ludobójców”, starając się, to prawda, respektować reguły stanowionego prawa. Zasadniczo można dziś stwierdzić, iż „oddano sprawiedliwość” katom, choćby przez to, że ich imiona i nazwiska zostały wpisane na wieki do rejestru moralnych potworów. Nadużycie owej „sprawiedliwości” przejawia się wszakże w tym, że odmówiono im miana ludzi. Przez to mianowicie, że w słowie „ludobójca” akcent położony został na drugi człon. Wymowa tego określenia jest taka, że ludobójca to bestialski morderca innych ludzi, sam wszakże wyzbyty przynależności do ludzkości – nie zasługujący na miano człowieka.

Do tej tendencji mentalnego „wyrzucania zbrodni” poza nasze podwórko, lokowania Zła na obcym terenie, „za płotem”, w znacznej mierze przyczyniły się te wszystkie relacje, które dawały opis Zagłady w kategoriach „innego świata”. Wygodnie i bezpiecznie było żyć przez dziesięciolecia w przeświadczeniu, że „świat właściwy, czyli nasz, był i jest immunizowany na moralną dżumę.

Z tych pozycji osób Złem przeświadczonych, jego biernych, ale niewspółdziałających z nim ofiar, Zło istotnie jawiło się jako coś niepojętego, zewnętrznego. Jako kataklizmu, który wydarza się bez mojej wiedzy, zgody, wbrew woli, bez mojej winy.

Jak się wydaje, wszystkie rozpatrywane w książce Cezarego Wodzińskiego teorie noszą tę właśnie cechę je upodabniającą: traktują mianowicie Zło jako żywioł umieszczony poza mną, poza podmiotem, który jest nim trapiiony i niszczo-ny, odbierają je więc z pozycji obserwatora cierpiącego odeń, ale w sposób niezawiniony i niewspółwinny. Zło jawi się na ogół (i tak właśnie jawić się „lubi”) jako Innobyt – przybysz nie z tej ziemi, nie z tego świata. Jako nieproszony i przerażający gość ze „Świata Innego”.

Z tego też powodu, czując się tubylcami, w zderzeniu z Potworem, Bestią, Mi-notaurem omdlewamy intelektualnie, ulegamy paraliżowi myśli. Powiadamy, iż „Zło jest niepomysłne” – nie do wyjaśnienia, nie do pojęcia, nie do pomyślenia. I słusznie: podobnie „niepomysłna” jest cudza choroba, nawet osoby najbliższej i najukochańszej. Jesteśmy ją w stanie „pomyśleć” dopiero wówczas, gdy sami na nią osobiście zachorujemy. Empatia, współczucie, współodczuwanie – najbardziej staranne i najuczciwsze wyrazy chęci wczucia się w Drugiego – natykają się na granicę skóry. Nawet mój sobowtór jest przecież kimś Drugim, tylko „wtórnym” mną. Jeśli w ogóle można mówić o przenikaniu się w odczuciach i przeżyciach z innym człowiekiem, to najbliższym tego dwuznacznego ideału jest *casus* jednojajowych bliźniąt.

Ale mój bliźniak powtarza głównie to, co aprobuję w sobie. Nie pobudza mnie do chęci poznania tego, co tkwi we mnie jako niejasne, niepokojące, groźne, mimo że moje, to odrzucane. Choćby owej potężnej porcji nienawiści, wstrętu i odrazy, jakie budzi napiętnowany „ludobójca”, były człowiek, niedo-człowiek, wyrzutek z rodu ludzi równie powszechnych, co stereotypowych. W tych przeważających ciągle jeszcze reakcjach na widok Auschwitz snuje się ślad wiary, że oto ja przynależę do dziedzictwa Ablowego, „tamci” zaś to plemię Kainowe.

Wyjściem poza tę naiwną i wręcz szkodliwą, niczym bowiem nie potwierdzoną, wiarę w czyjąkolwiek niewinność (w tym zwłaszcza moją) winno być przypomnienie i oswojenie się z myślą, iż Abel został zabity bezpotomnie. Wszyscy, którzy kiedykolwiek zaludniali i zaludniają Ziemię są już przeto tylko potomkami i Kaina. Brata bratobójcy.

Postać Salomona Morela zamyka jak gdyby okres „dopuszczalnej iluzji”. Wniknąwszy w jego biografię, wzięwszy pod rozwagę zarówno czas, gdy był „nie-winnym prowadzonym na rzeź barankiem”, jak i czas, gdy sam pastwił się nad swymi ofiarami (dokładnie przy tym, bo z autopsji wiedząc, jaka jest skala cier-

pienia ofiar w obozie zagłady) nie możemy już ani przez sekundę łudzić się, że Zło jest podzielone niesprawiedliwie. Że przypada ono, jako gorsza część, wyłącznie „złym ludziom”, predestynowanym do bycia oprawcami, a im większy jest ich udział w Złu, tym więcej Dobra przeznaczone jest mnie, predestynowanemu do bycia niewinną ofiarą. Sądzę, że nadchodzi moment, w którym ktoś, trawestując Kartezjusza, powie pełnym głosem „Zło jest rzeczą najsprawiedliwiej rozdzieloną między ludźmi”.

## 7.

Być może w tę właśnie stronę zmierza w swych rozważaniach – jeszcze nie opublikowanych – Cezary Wodziński. Być może zamierza on w swej apofatycznej filozofii udowodnić, że „niebyt, który jest, nicność, która istnieje”, Zło specyficznie substancjalnie przepełnia rzeczywistość. Jako-teraz – reguła. Jeśli tak, to wyjątkiem będzie się odąd jawiło Dobro. A wówczas problemem równie nierozstrzygalnym, równie „niepomyślnym” jak dotąd *unde molum?* stanie się pytanie *unde bonum?*

Z ogromnym zainteresowaniem i z prawdziwą niecierpliwością oczekuję drugiego tomu *Światłocieni dobra*.

Czy będzie to kierunek „pod wiatr” – to znaczy taki, który zmusi go do zamiany Zła i Dobra miejscami. Zło, okazawszy się naszym codziennym niebytem, zepchnie Dobro do rzadkich odświętnych wyjątków, Niedziel Niebytu. Ale czym wówczas się ono okaże: szczeliną Bytu w murze Niebytu?

Jeśli „*casus Morela*”, symetrycznie dopełniając „*casus Eichmana*” wyjawi totalność, uniwersalność Zła w ludziach, nieludzkość ludzi, to co wtedy z takimi przypadkami jak Ojciec Kolbe? Albo, „gorzej jeszcze” dla Cezarego Wodzińskiego – z Edytą Stein?

O ile postępek Ojca Kolbego poczytać można za jednorazowy poryw serca, nicoczekiwane także dla samego bohatera uniesienie ducha, to śmierć Edyty Stein poprzedzona została głębokimi, precyzyjnymi, w języku fenomenologicznym przeprowadzonymi dociekaniami nad koniecznością i możliwością odkrywania i przewycięzania zła – w samej sobie. Włącznie ze złożeniem ofiary ze swego życia. Złożeniem ofiary, by nie zostać ofiarą.

Cezary Wodziński, zwłaszcza w tych częściach książki, które noszą nazwę „fragmentów”, starał się śledzić mechanizm światłocieniowania, osobliwy fenomen „widzenia dzięki niewidzeniu”. Przekonująco wskazał to, czego dotychczas widzenie Zła nie zobaczyło, i dlaczego ujrzeć nie mogło. Doprowadził też niemal do końca proces dowodzenia, że pragnąc jasności, mieszkańcy Jaskini coraz mocniej pogrążali się w mroku. Jeśli wyszliśmy z Jaskini, to co najwyżej tropem i stylem krecim, zarywając się pod ziemię i ślepnąc.

Nie da się podważyć tego ponurego odkrycia. Skoro wszystkie dotąd szkicowane „teksty o Holocauście” nie zdołały nas przygotować do rewelacji o Salomonie Morelu, to raczej ma Cezary Wodziński: ślepa plamka w oku ludzkości ciągle się poszerza.

Lecz oto – i znowu w tym samym miejscu, w identycznej scenerii, w tym samym czasie, w Auschwitz 9 sierpnia 1942, w rok po śmierci Ojca Kolbego, w trzy lata przed objęciem komendantury filii obozu przez Salomona Morela – Edyta Stein ginie nie przeczuwając zapewne, iż zostanie ogłoszona świętą.

Cóż my wiemy o człowieku? Co możemy wiedzieć o ludziach?

Czy w ogóle istnieje człowiek? Przeciwno temu przemawiają dwa nazwiska: Eichmann i Morel. Za także dwa: Kolbe i Stein.

Rzeczywiście patrząc na ten „rachunek” można popaść w bezradność. Teraz już nie dlatego tylko, iż w ludziach aż tyle nieludzkiego, ale i dlatego, że w nich aż tyle nadludzkiego.

Wiesław Dymny śpiewając o „horyzontalnym pejzażu” natknął się w jego pustce na postać ludzką i zobaczył ją jako element pionowy: „człowiek jak stwórca – nieobliczalny”.

Obstaję na razie przy tym jednym jedynym aksjomacie: że my, ludzie, jesteśmy nieobliczalni. Nieprzewidywali ani w stronę dobra, ani w stronę zła. Idziemy drogą w stronę Tarsu. Wyruszamy z domu jako Szawłowie. Jako kto dojdziemy do jej końca? Czy ukaże się nam „światłość w ciemności”, czy tylko mamiąca gra „światłocieni zła”. Jest w nas potencjalnie każdy: w świętym Pawle pogański, krwiożerczy Szaweł. Auschwitz zaś to Miejsce, gdzie każdy decyduje sam: czy pójdzie za Eichmannem, Morelem czy za Kolbem i Edytą Stein.

*Jadwiga Mizińska*